

Nigdy nie unikałam wyzwania

Rozmowa z Niną Andrycz, aktorką, pisarką



Premierą „Krzesła” Eugene Ionesco na swej Scenie Kameralnej uczeni dziś Teatr Polski w Warszawie jubileusz 60-lecia pracy artystycznej Niny Andrycz. Aktorka grająca w spektaklu główną rolę kobiecą (na zdjęciu z Ignacym Gogolewskim) pozostaje wierna tej scenie od 1935 r., kiedy to do Polskiego zaangażował ją Arnold Szyfman. Przedstawienie reżyseruje Maciej Prus, autorką scenografii jest Zofia de Ines

FOT. MICHAŁ SADOWSKI

W swojej książce o licznych wątkach autobiograficznych „My rozdwojeni” napisała pani: „Zostać aktorem — to znaczy całe życie się męczyć. Zdawać cały szereg nie kończących się egzaminów dojrzałości. Szukać, ścigać, chwytać, gubić i znowu odnajdywać tysiąc niejasnych obrazów. Żeby z nich ukształtować ciało przyszłej roli. Przy tym trzeba poznać swoje ludzkie, czyli w konsekwencji aktorskie możliwości, wady, błędy. Znaleźć sposoby, aby je wykorzystać”. Czy taka jest — z perspektywy sześćdziesięciu lat na scenie — prawda o tym zawodzie?

W książce nie ja wypowiadałam te słowa, ale aktor i reżyser Albert Bogota. Pod tym nazwiskiem „ukryłam” wybitnego artystę, Aleksandra Węgierkę, człowieka, którego bardzo kochałam, który zaważył na wielu moich decyzjach, na widzeniu i rozumieniu teatru, któremu też poświęcałam wiele napisanych w różnych okresach życia wierszy. Dziś mogę już o tym mówić. On nie żyje od dawna, zmarła również jego żona, Zofia Węgierkowa, znakomity scenograf, która projektowała moje wspaniałe kostiumy teatralne. Ale wracając do pytania — podtrzymuję tę opinię w całej pełni. Czy trzeba szukać aż specjalnych przykładów? Przecież w tej chwili reżyser Maciej Prus obsadził mnie w „Krzesłach” Ionesco w roli, która jest raczej poza moim emploi. Publiczność kojarzy mnie z rolami wielkich dam, królowych, cesarzowych, hrabianek, heroin romantycznych, zaczarowanych dusz, wielkich miłośniczek... Tymczasem teraz gram rolę nieszczęśliwej żony nieszczęśliwego inteligenta, któremu się nie udało życie. Siedzi na scenie dwoje ludzi, już niemłodych, tak w okolicach siedemdziesiątki, a ponieważ życie nie dało im nic, co by zaspokoilo ich apetyty i ambicje, wydumują sobie świat, stwarzają życie zastępcze, zapraszają rzekomych gości, z którymi prowadzą nie kończące się dialogi. To nie jest sztuka o stałości, to jest sztuka o samotności. Z kolegą Ignacym Gogolewskim, moim scenicznym mężem, usiłujemy zaaludnić scenę tworami wyobraźni. Tęgo typu sztuka wymaga bardzo wiele od aktora — to odpowiedź na pani pytanie, jak trzeba się namęczyć, aby uwiarygodnić taką sytuację, ale również wiele wymaga od widza, którego wyobraźnia musi współgrać z wyobraźnią autora i aktorów.

„Krzesła” wchodzi na scenę dla uczczenia pani niezwykłego jubileuszu — 60 sezonów w Teatrze Polskim. Które z nich pozostały w pani pamięci jako najbardziej udane?

Przede wszystkim — małe sprostowanie. Rzeczywiście, zaczynałam w 1935 r., ale przecież kiedy wybuchła ta straszliwa wojna w 1939 r., jako dobra patriotka, na życzenie mojej organizacji AK, nie wystę-

powalam przez 6 lat; a więc nie 60 sezonów — one są de iure zaliczone przez ZASP — ale faktycznie 54. Z pewnością do takich sezonów, w czasie których człowiek był tak zwyczajnie, po ludzku szczęśliwy. Trzebaż ten na dwa lata przed wybuchem wojny, kiedy grałam w prapremierze sztuki Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”. Dostałam szczęścia, partnerując naszej primadonne, pierwszej aktorce tej sceny, pani Marii Przybyłko-Potockiej, w cywilu ukochanego żonie Arnolda Szyfmana. Moim partnerem był Zbigniew Ziemiński, twórca teatru w Brzezinach, któremu za życia stawiano pomniki. Był najlepszym Chopinem, jakiego kiedykolwiek widziałam, również dlatego, że fizycznie cudownie pasował do tej roli. Grałam zakochaną w Chopinie młodą egzaltowaną dziewczynę, którą matka później wydała, gwoli spokoju w rodzinie, za swojego ekskochanka. A ponieważ prywatnie przeżywałam wtedy nieszczęśliwą miłość, przeniosłam swoje udreki na zawieszoną Solange. Pewnie dlatego miałam ten nieprawdopodobny stopień szczerości. To się udzielało widzom. W pierwszych rzędach widziałam fruwiącej w półmroku chustki, którymi wycierano łzy. A potem było 6 lat niegrania. Praca fizyczna, lęk o życie, strata bliskich, potworne dojrzenie naszego pokolenia. Bo w naszym pokoleniu wojna była czeszą najważniejszą, i do tej pory nią jest. Życie się przełamało na dwie części. I zabawne, że tamten, przedwojenny kapitalizm polski to było coś tak idyllicznego w porównaniu z obecnym.

Po wojnie do najbardziej udanych sezonów zaliczam te, w których grałam Lady Milford w „Intrydze i miłości”, a grałam ją 320 razy, Szimę w „Cydzie” — 250 razy, przywożąc również z Moskwy, Petersburga i Kijowa wspaniałe recenzje po gościnnych występach. Sezon 1955/56 przyniósł mi „Świętą Joannę” Shawa, rok 1958 — „Marię Stuart” Słowackiego, rok 1960 — Elżbietę Valois w „Don Carlosie”, 1963 — Kleopatę w dramacie Ludwika Hieronima Morstina, a 1964/65 — Dianę de Belflor w „Psie ogrodnika”, którą również grałam przez kilka sezonów.

Teatr Polski w połowie lat 30., kiedy zaangażował panią Szyfman, był czołową sceną Polski i jedną z najciekawszych w Europie, ale potem nie było już tak dobrze — kryzys gonił kryzys. Pani nigdy nie zdecydowała się na zmianę teatru. Czym wytłumaczyć tę wierność?

Teatr Polski, tak jak każdy żywy organizm, przechodzi rozmaite choroby, zapaści, niedowłady, zły passy. Każdą z nich odczuwałam jako osobistą tragedię, ale nie odchodziłam. Bo co innego martwić się, że w małżeństwie jest zły okres, a co innego rzucić męża. Teatr Polski był moim całonocnym małżonkiem. To była jedyna instytucja w świecie, której dochowałam bezwzględnej

wierności. Przeżywałam złe okresy w nadziei, że nastąpi lepszy. A poza tym, jak opuścić miejsce, w którym przeżyło się największą miłość swego życia, zostawiło młodość i wiele lat potwornie ciężkiej pracy?

W połowie lat 70. zdecydowała się pani na bardzo ryzykowny krok — radykalną zmianę emploi, zamieniając koronę na papiloty. Nie bała się pani, że publiczność nie zaakceptuje pani w roli Dulskiej, czołowej polskiej kofuntki?

Dulska była wyzwaniem, a ja nigdy nie unikałam wyzwania. Poza tym, musiałam być ze sobą szczerą — posuwały się lata w metryce i trzeba było umieć znaleźć się w tej sytuacji. A Dulska, cokolwiek by o niej powiedzieć, jest na swój sposób królową. Jest to potwornie aktywny człowiek — niszczy wszystkich dookoła: sąsiadkę, męża, syna. Wspaniale tego biedaczka grał Andrzej Antkowiak, jedyny aktor, który mi siedział na kolanach, taki był szczupły, tak mało ważył... Sztuka odniosła sukces, czego najlepszym dowodem było utrzymanie się jej na afiszu przez trzy lata. Dla mnie to zwycięstwo znaczyło więcej niż jeszcze jedna dobrze zagrana królowa. Za jednym zamachem przestałam bać się ról charakterystycznych. Wkrótce potem zagrałam właścicielkę lupanarów w „Profesji pani Warren” Shawa, tytułową rolę w „Babie-Dziwo” Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej oraz Ksenię w „Maestro” Abramowa.

Czy wiele ról w życiu pani odrzuciła?

Nie, zaledwie dwie, zawsze w porozumieniu z reżyserami. Przypominam sobie, jak po moim tournée po Związku Radzieckim, które zakończyło się wielkim sukcesem, przyjechał do Polski Aleksander Korniejczuk, mąż Wandy Wasilewskiej, ukraiński dramaturg, poeta i działacz, przywożąc jakieś grafomańskie dzieło i nadzieję, że zgodzę się w nim zagrać główną rolę. Podziękowałam, tekst odłożyłam na półkę. Raz jeden odmówiłam zagrania roli w spektaklu mojego profesora, Leona Schillera, który chciał mnie uszczęśliwić rolą Żony w „Pociągu pancernym”. Sztuka grana była 13 razy. Schiller nie miał mi tego za złe. Powiedział tylko: „Miała pani nosa.” W ogóle przez cały socrealizm udało mi się przebrnąć szczęśliwie, ponieważ klasyka z moim udziałem miała tak wielkie powodzenie, że nawet w czasie najgorszej stalinady ja stałam się „lady”.

Czy żał pani któreś z nie zagranych ról?

Tak, żał mi, że będąc młodą nie zagrałam Kressydy Szekspira. Tam jest taki genialny tekst: „Bóstwem dziewczka upragniona, lecz z posiadaniem radość duszy kona”. Jednego zdmwił i niezdmwił nigdy pani nie odmawiali — pasji do pracy. Skąd czerpała pani energię?

Dieta, spacer, lektury, przyjaźń, która bardzo mnie wspierała. Siłę dawała mi filo-

zofia. Zawsze miałam ciężoty w tym kierunku. Równoległe ze studiami na Wydziale Aktorskim PIST-u, próbowałam przez jakiś czas łączyć zajęcia z filozofii i psychologii na Uniwersytecie Warszawskim. Byłam uczennicą profesorów Tatarkiewicza i Witwickiego i u obydwu miałam piątki, jako jedyna na 60 zdających. Na drugim roku przerwałam studia, ale w czasie okupacji starałam się to nadrobić. Bardzo interesował mnie hinduizm i filozofia chińska. Wykladał mi ją mój niezły już przyjaciel, pan Robert Walter. To on zapoznał mnie z naukami najstarszego chińskiego filozofa, Lao-Tse, co, jak się potem okazało, pozwoliło mi zabłysnąć w obecności... Mao. Kiedy pojechałam do Chin w składzie delegacji rządowej i tam spotkałam Mao Tse-tunga, byłam do rozmowy z nim właściwie przygotowana. Mao, którego zżarła polityka, był niewyżyty poetą i filozofem. Lao-Tse był jego ulubieńcem. Kiedy więc w czasie uroczystego obiadu zacytowałam którąś z jego maksym, Mao odwrócił się tyłem do całej delegacji rządowej i zaczął ze mną rozmowę. Przeegzaminował mnie dokładnie z jego nauk, a kiedy zacytowałam też, moim zdaniem, najgenialniejszą: „Za wielkim nagromadzeniem idzie wielka strata. Nie masz grzechu większego nad ambicję”, zajmował się już wyłącznie mną i filozofem, a delegacja spokojnie zjadła zupę ze zmię i popijała mocną ryżową wódkę. Nazajutrz zostałam obdarowana kilkoma belami wspaniałego purpurowego atlasu w zielone kwiaty.

Na ile pani pozycja jako żony premiera Cyrankiewicza, wpływała na pani pozycję w teatrze?

Swoją pozycję zawdzięczałam przede wszystkim sobie, swoim umiejętnościom, pracowitości, choć, oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, iż fakt, że byłam żoną premiera, miał dla wielu ludzi znaczenie w kontaktach ze mną. Z drugiej jednak strony doświadczyłam tyle bezinteresownej zawiści, iż podejrzewałam, że z nawiązką odpokutowałam za grzechy niezawinięte.

Przed kilkoma laty miał miejsce pani debiut poetycki. Ale kiedy, po następnych tomikach, ludzie przyzwyczaili się już do Niny Andrycz — poetki, zaskoczyła ich pani wydaniem powieści. Czy chowa pani w zanadrzu jeszcze jakieś niespodzianki?

Pracuję nad drugim tomem prozy, który będzie opowiadał o latach wojny, okupacji i pierwszych dwóch powojennych. W przeciwieństwie do „My rozdwojeni” nie będę ukrywała autentycznych postaci pod pseudonimami. Jednak nie znajdują się w tej książce żadne niedyskrecje, które mogłyby kogokolwiek ukazać w fałszywym świetle. Ustanuję w pełni i nazwiska, i opinie, które ludzie ci wygłaszali wiele lat temu. Niektóre wypowiedzi nawet autoryzowałam.

ROZMAWIAŁA EWA ZIELIŃSKA